ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Lipca. № 29. Roku 1857.

MIKOŁAJA KOPERNIKA PORTRETY I WIZERUNKI.

Przez

Felicyana Łobeskiego.

Zakład narodowy imienia Ossolińskich pomnożył ostatniemi czasy liczbę utworów pędzla, stanowiących jego galerya obrazów, nabyciem wizerunku przedstawiającego półpostać męzką w średnim wieku, przybraną w szubę z futrem z zielonym wierzchem, czy też w inną jakąś szatę tegoż koloru, a nad którym to portretem, na jego ciemnem tle, wzdłuż całej szerokości obrazu, znajduje się dużemi kolorowemi głoskami nakreślony napis: Nicolaus Copernicus.

Zkądby ten portret dostał się do Lwowa, i w czyim ostatnim pozostawał ręku, nim przeszedł do rąk kupieckich (gdyż od takich był nabytym), na to, jak nateraz, ani pewnych ani dostatecznych nie ma wiadomości; cecha zaś jego, to jest tak owa tycząca się samegoż sposobu malowania, w jakim tenże utwor jest wykonanym, jako też i inne szczegóły odnoszące się do materyalnej jego strony, każą się domyślać i dostarczają dowodów, że utwor ten z bardzo dawnych pochodzi już czasów.

Lecz najciekawszym i największej wagi jest tu samże napis, a który, według zdania samegoż dyrektora tegoż zakładu, Augusta Bielowskiego, mogącego w tym względzie wydać sąd stanowczy, pochodzi bezsprzecznie z pietnastego jeszcze, a najpoźniej z pierwszej połowy szesnastego wieku; zdania wyrzeczonego z tem atoli ostrzeżeniem, i dodaniem tej tu koniecznej w tym razie uwagi: iż głoski tego napisu jak i cała jego charakterystyka, okazuje niewątpliwe pochodzenie włoskie, czyli pismo w stylu bibliografijnym tak zwane italica.

Zbieg więc tych okoliczności, jako to: sam sposób malowania, toż wątłość i rodzaj przyrządu płótna, którego grunt tu jest czerwonym, a co znowu zgadza się z ówczesnym zwyczajem malarskim, czyli: dawność utworu; nareszcie brzmienie i cecha napisu przekonywują, iż tu nietylko mamy do czynienia z portretem Kopernika, nietylko z utworem włoskim, czyli powstałym tam gdzie nasz Astronom najpiękniejsze i w części najświetniejsze lata swego żywota przepędził, ale nadto z utworem dawnym i wizerunkiem, który mógł powstać lub spółcześnie z żywotem tego męża, lub nie o wiele poźniej, a zatem mogącym dać tem większą możliwości podobieństwa rękojmią.

W chwili tedy właśnie, kiedy się toczy niejako spór, który wizerunek Kopernika jest autentycznym, lub za taki ma być mianym; i kiedy urosło aż powątpiewanie, ażali istotnie jesteśmy w posiadaniu autentycznego wizerunku Kopernika, to jest takiego, któryby nam przechowywał i wyrażał rzetelne i nieomylne rysy tego męża, — w chwili, mówimy, takiej, tak podanie wiadomości o niniejszym zabytku i bliższe jego szczegóły, jako też i w ogóle usiłowanie dochodzenia autentyczności wizerunku Kopernika śród licznej ich mnogości, nie będą może obojętnemi lub niestosownemi.

Owoż co do w mowie będącego wizerunku, to rysy twarzy, które tu w tym portrecie pochwycone i przechowane widzimy, i z powodu którego właściwie przedmiot ten podjęliśmy, wyrażają jota w jotę to samo oblicze, jakie dotąd powszechnie jako przedstawiające prawdziwe rysy Kopernika, uchodziło i uchodzi; a zatem postrzegamy tu i oglądamy najsamprzód, co do ogółu, tę samą podłużną twarz, z tym długim, rozdzielonym, i na obie strony spływającym włosem; jako też, co do szczegółów, znachodzimy tu te same części twarzy, które dotąd cechowały i cechują wszystkie Kopernikowe, a przynajmniej za takie uchodzące, wizerunki; a zatem nos cienkawy i ściągły, nieco kończystą brodę, jako też i owe do właściwości twarzy Kopernikowej należące, cokolwiek około ust wklęsłe, a poniżej ócz dość znacznie wystające policzki.

Dalej, co do samegoż wyrazu twarzy i odźwierciedlenia duszy, którą w portrecie takiego męża wszelki pewno artysta starał się pochwycić i oddać, to przebija się w utworze tym i mówi z tego oblicza ta sama łagodność, wewnętrzny spokój, prawość i słodycz charakteru, i że tak powiemy, czystość myśli, jakie to przymioty duszy każdy zapewne z widzów, spojźrzawszy choć raz na jeden z którychbądź wizerunków wyobrażających tego męża, a uchodzących dotąd za autentyczne czyli za prawdziwe, dostrzegał i dostrzega. [1])

Dodać tu jeszcze i to musimy, że tak wizerunek o którym tu mowa, jako też i wszystkie inne dotąd za autentyczne uchodzące Kopernika wizernnki, to mają jeszcze ze sobą wspólnego, i ta między niemi zachodzi co do wewnętrznego wyrazu twarzy prawie aż tożsamości, iż wszystkie, bez wyjątku, wyrażają twarz niepowiemy że odrębnie polską ale zawsze bezprzecznie czysto-słowiańskie oddają oblicze. [2])

[1]) Niewiemy jak to będzie przyjętem, ale zda nam się, że tę jakąś szczerotę, tę słodycz, prawość a oraz i siłę charakteru, jaka w rysach twarzy Kopernikowej czyli za Kopernikową powszechnie uchodzącej się przebija, że ten sam prawie wyraz ducha dziwnie i w twarzy Tadeusza Kościnszki postrzegać się daje; do czego się to zapewne przyczynia i pewne znamię i tejże samej rodowości, które na obu tych licach nie można zapoznać, i które w nich widzim tak silnie zebrane, a o którem właśnie w texcie w najbliższym ustępie mówić nam przychodzi.

[2]) Dwa nam jeszcze, zdaniem naszem, wyłącznie z uwagi na duchową stronę oblicza mogłyby pozostawać sposoby dochodzenia i sprawdzania autentyczności wizerunków Kopernika. Jednym jest owa, której tak olbrzymie dał dowody, genialność; a drugim: charakter jego duszy. Co do pierwszej czyli piętna genialności, to broniąc tu dotychczasowie za autentyczne uchodzące Kopernika wizerunki, dość będzie wspomnieć o owym litografowanym w wielkim formacie mającym napis: *Copernic, tiré du cabinet de S. A. le Prince Henri Lubomirski, et gravé par ses ordres*, który przedstawiając Kopernika w młodszym wieku i snać nieco w zidealizowaniu, oddaje oblicze, które możnaby brać żywcem za rysy twarzy Rafaela. Tak więc piętno genialności czyli powinowactwo ducha zrodziło tu chyba aż podobieństwo fizyczne: podobnie jak znowu uderzające powinowactwo charakteru, mimo odmienności lic, wywołało owa wspomnioną wspólność wyrazu duszy na dwóch odrębnych twarzach, czyli, jak wspomnieliśmy Kopernika i Kościuszki. To podobieństwo charakteru a przeto jakby tożsamość wewnętrznego wyrazu rysów twarzy, jeszcze i na niektórych innych, ale już niewielu tylko twarzach postrzegać nam się zdaje, że tu wspomnim Niemcewicza lub Wassingtona. — Te atoli uwagi i postrzeżenia co do wewnętrznego wyrazu twarzy powszechnie za Kopernikową uchodzącej, nie mogą tu jeszcze wprawdzie i nie powinny nic stanowić i rozstrzygać; ale jeżeli inne jeszcze jakie a właściwe temu przedmiotowi szczegóły z niem t. j. z tem piętnem duchowem się połączają, a co będziem się starali okazać: wtedy, o ile, i czy słuszna, i w tym tu wypadku czy należy i na takich znamionach polegać, zostawiamy osądzeniu.

I toć to jest, zdaniem naszem, na co w dochodzeniu autentyczności wizerunków Kopernika jeźli nie głównie, to nigdy z tegoż pominięciem uwagę zwrócić należałoby i należy; i gdybyśmy na wszystkie inne szczegóły tyczące się tej kwestyi zważać nie mieli lub nie chcieli, toć już ta jedna okoliczność, ta niezaprzeczona i nie do zapoznania cecha wyłącznej jakowejś plemienności czyli narodowości, jaką na wszystkich prawie Kopernika wizerunkach uchodzących za autentyczne, postrzegamy, o rzetelnem i nieobalnem przedstawieniu nam rysów tego męża, w tym powszechnie znanym nam typie, przekonywać nas powinna.

I zaprawdę dziwić się musimy, jak mogło niegdyś Towarzystwo Przyjaciół Nauk warszawskie, dostarczając kilkunastu czy też kilkudziesięciu wizerunków Kopernika Torwaldsonowi, ku utworzeniu posągu przy wznoszeniu temuż mężowi pomnika, wahać się choć na chwilę w wyborze, by wykazać, który ma być z nich autentycznym, lub aż nareszcie wątpić, ażali między niemi jest istotnie który, któryby wyobrażał prawdziwe lub tylko podobne oblicze Kopernika.

To też Torwaldson widząc taką wątpliwość w spółrodakach wielkiego Astronoma w oznaczeniu prawdziwości jego rysów, i znać oceniając taką jakby artystyczną tych, że tak powiemy, dostojnych profanów rzetelność i sumienność, jakoby tem ich usposobieniem urzeczon, sam się zawahał, i zamiast z wizerunków, które miał przed sobą, wybrać jeden jako najantentyczniejszy, co, zda nam się, nie powinno było być tak trudno, wolał ów mistrz spuścić się na własny geniusz i na prawo, jakie mu w tym razie przysługiwało, t. j. utworzyć z swej własnej wyobraźni domniemywane oblicze Kopernika, a niż wykonać dzieło na podstawie, względem której ci nawet, którzy najwięcej byli w tem interesowani, i tak zacni i światli mężowie, byli w niejakiej i podobno zupełnej niepewności.

I tak Torwaldson zamiast Kopernika tworzył, jak wiadomo, twarz obcą czy też idealną, co mocno żałować należy; raz że dzieło takie minęło się z swem przeznaczeniem mającem być historyczną pamiątką; a powtóre, że dzieło mistrza, przez to samo że dziełem mistrza, jeśli w jakim względzie jest mylnem, jakby uświęca błąd lub w niego wprowadza. [1])

Ten sam a przynajmniej wielce podobny los spotkał i inny bardzo znakomity płód sztuki, a utwor ziomka naszego. Niepoważamy się tu nic więcej w tym względzie powiedzieć. Sam bowiem szanowny artysta listem swym do Ambrożego Grabowskiego z swego postąpienia się wytłumaczył i usprawiedliwił; a pisma warszawskie okoliczność tę, jak zasługiwała, skwapliwie podjęły i dostatecznie wyświeciły. Tłumaczy zaś przedewszystkiem szanownego ziomka nieobecność w kraju, o który to przecie rozstrzygnienie tej kwestyi ostatecznie oprzeć się ma; równie jak i głównie tłumaczy tu już raz zachwiana przez tak uroczyste wyrzeczenie wątpliwości ze strony Ciała naukowego, ich autentyczności powaga.

Z tych więc wszystkich powodów, raz że tak powiemy tràceni ukazaniem sie nowego naraz wizerunku Kopernika, a który mając wielkie autentyczności prawdopodobieństwo, niemało się może do rozstrzygnienia tej kwestyi przyczynić; jako też mając w pamięci i uprzytomnieniu ową wspaniała Oleszczyńskiego rycinę, i widząc z niej, że sąd co do rysów twarzy Kopernika i u najpierwszych mistrzów nie jest jeszcze ustalony; nareszcie i głównie zahaczywszy nawiasem o opinią wyrzeczoną niegdyś przez Towarzystwo Przyjaciol Nauk Warszawskie, a z którą, mimo wszelkiej powagi tych mężów, w żaden sposób, sądzimy, zgodzić się niemożna; — odważamy się tu i zamierzamy usiłować, ażali nam się nieuda bądź to wyśledzić, bądź tylko sprawdzić, a zawsze ostatecznie oznaczyć z tyloliczych jeden lub więcej autentycznych wizerunków Kopernika.

Dalecy jesteśmy od mniemania jakoby to usiłowanie i dochodzenie nam było dostatecznem, a oparty na niem sąd lub przypuszczenie, niemylnem: ztemwszystkiem jeśli rzeczy tej nie rostrzygniem, to przynajmniej o tyle, o ile naszym zamiarom i chęciom podołamy, ku rozstrzygnieniu bliżej ją posuniem.

Teraz winniśmy usprawiedliwić się i ze źródeł, jakie nam w tem zadaniu przez życzliwość szanownych ich właścicieli stały otworem, i z których nieomieszkaliśmy korzystać.

Nie byliśmy w Strasburgu, ni w Grenwich; ni w Tuluzie, ni w żadnem z tych miejsc zkąd to, czyli od których-to co do rysów twarzy Kopernika typów, wizerunki tylo uwielbianego męża na świat się rozeszły i rozchodzą; Lwów tylko był tu w tem wszystkiem naszą alfą i omegą: — wszelako trzy rzec można najznakomitsze krajowe zbiory, jako to: zbiór rycin Mieczysława Pawlikowskiego, zbiór rycin Alexandra Batowskiego, toż zbiór rycin i galerya obrazów „Muzeum Lubomirsciani" połączonego z Zakładem narodowym imienia Ossolińskich; nareszcie trzy książnice, jako to: Księgozbiór Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, i obfite wrzadkości biblioteki: Mieczysława Pawlikowskiego i Alexandra Batowskiego Odnowska, która pomimo znacznej już rozsprzedaży jeszcze nie jedną szacowną osobliwość w sobie mieści — oto źródła, z których w tym tu przedmiocie zaczerpnąć usiłowaliśmy, a owocek naszych poszukiwań w niniejszem pisemku mamy wykazać. (D. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Obok dokumentów, które podajemy w Dodatku tygodniowym ażeby wyjaśnić dawne stosunki naszego kraju i przysposobić materyałów do historyi osad, gmin, korporacyi, wsi i miast samej Galicyi, mamy udzielonych nam wiele listów, dokumentów, i pism rozmaitych, odnoszących się do osób lub do dziejów przechodzących zakres prowincyi jednej. Iż są z wielu miar ciekawe, a badaczom starożytności mogą wiele rzeczy wyświecić, albo przynajmniej ich widokom po-

[1]) A nawet wątpimy aby Kopernik Torwaldsonowy był idealniejszym od którego z celniejszych wizerunków wyobrażających tego męża, to jest idealniejszym w tem znaczeniu, iżby wyrażał twarz, obok koniecznego tu napiętnowania wyższym duchem, i więcej rodową, i więcej indywidualną (a którego to rodzaju idealizowanie, jeśli być ma, w ściśle historycznych utworach jest nieodzownym warunkiem), a nie jest owa twarz długowłosa, tak pełna oryginalności i charakteru, i rzec można piękna, która powszechnie uchodzi za rysy twarzy Kopernika.

służyć, postanowiliśmy zamieszczać one w Rozmaitościach.—Dzisiaj podajemy dwa listy Maryi z Leszczyńskich królowej francuskiej do księcia Prymasa Teodora Potockiego, a to z pisownią jaka w oryginale.

---

1. List Maryi z Leszczyńskich królowej francuskiej.

„C'est trop tard mon Cousin répondre a une lettre comme la votre et c'est aussi pour doner plus de prix a la mienne que je la fait passer par une main qui nous est chere a tous deux il seroit inutile que je voulue ici vous étaler ma reconnoissance de votre zele pour le Roy mon Pere je vous dirai seulement q'uelle est au dessus de la Sienne puisqne je l'aime mieu q'uil ne peut l'aimer luy meme et cent fois plus que moy meme, jugé aprés cela si je suis touché des preuves que vous lui avoit donné de votre attachement, il ne me reste donc q'ua vous en demander la Continuation, et Dieu qui a vonlu nous éprouver encore quelques temps bénira la justice de notre Cause et donnera au Roy mon Pere a ma patrie et a moy la Consolation de vous voir jouir long-temps du fruit de Vos soins o co Pana Boga codziennie proszę będąc z serca i z dusze

a Fontainebleau — Mon Cousin
le 12 novembre 1733. — Votre bonne Cousine
Marie.

(adres) A Mon Cousin l'archeveque de gnesne, Primat de Pologne.

Dwie pieczęcie z herbem lilii i ciołka. Cały własnoręczny, na małym półarkuszu złożonym w ćwiartkę; z dwoma pieczęciami do obwiązywania wstążeczką.

---

2. List Maryi z Leszczyńskich królowej francuskiej.

I'ay rescut mon Cousin vostre lettre et les voeux que vous y faites avec le plaisir que me fait toujours tout ce qui me vient de vostre part, la Continuation de vostre attachement pour le Roy mon Pere me pénéstre de la plus vive reconnoissance que ne puis-je vous la témoigner vous pouvez estre asseurée que ce sera une des occupations les plus agréables de ma vie d'en rechercher les occasions, en attendant je prie Dieu du fond de mon cueur de vous faire jouir d une santé parfaite nie tylko tego roku ale przez naydłusze zycie acompagnée de toutes les prospéritées imaginables voila mon Cousin les souhaits que fait pour vous celle qui finira plustost la vie que d'estre avec l'amitiée je puis mesme dire tendresse z serca i z dusze a voux

A Marli — Marie.
ce 16 janvier 1734.

List cały własnoręczny, z dwiema pieczęciami do obwiązywania wstążeczką — adres:

„A Mon Cousin l'archeveque de Gnésne Primat de Pologne."

POWIEŚCI U LUDU W WALLII.

Udzielił Dr. Juliusz Rodenberg.

I. Maen du yr Arddu. — Czarny kamień w Arddu.

W Bettwi Garmwinie, u stóp zachodnich Snowdanu, mieszkał majętny dzierzawca z córką Mardytą. Dziewczę było piękne ale płoche, serca wprawdzie nie miała złego, ale pełne wymysłów. Lecz że bogata, piękna i młoda, starało się o nią wielu; cóż! kiedy odprawiała każdego. Ten był za duży, ten za mały, mówiła — zwyczajnie jak-to się mówi z pustoty. Jej się zachciewało czegoś czego nikt nie ma, ptasiego mleka, na przykład.

A był tam we wsi syn innego dzierzawcy, zwali go Hufcyn Sion, nie bogaty ale poczciwy i za to na całą wieś najsławniejszy, przytem poważny; a z oka mu patrzyło że nie jedna dziewczyna szalała za nim. — Kiedyż Hufcyn ślepy był na to, jemu serce biło tylko dla jednej Mardyty, pięknej, bogatej dzierzawczanki.

Ale i on przypadł do serca Mardycie, tylko że dziewka trzpiot była.

Ojciec Mardyty, że to widział a chciał szczęścia swej córki, schodzi Hufcyna i sam mu radzi żeby się starał o jego córkę. Hufcyn od siebie, byłby sam nigdy się nie poważył przystąpić do Mardyty; tak ją kochał, że lękał się cieniem ją swoim obrazić.

Ale za radą ojca stroi się i wybiera z oświadczeniami razu jednego. Mardyta koło domu właśnie uganiała po błoniu za stadem, i zobaczyła go jak idzie w świątecznych sukniach.

Co-to Hufcynie, woła, czy dziś niedziela? — Będzie i niedziela, jeźli ty zechcesz oddać mi rękę!

To ty z tem idziesz? — i w śmiech, taki, że aż stado pierzchnęło. — Patrzcie go! albo-to myślisz że ja dla dzierzawczyca? czy-to Bardowie dla mnie nie rosną? Mówię ci że ja chcę Barda, i póki sam Bardem nie będziesz, nie potrzebuję ciebie.

I popędziła w górę za stadem błoniami, a Hufcyn z boleścią w sercu zawrócił. Żeby się był choć raz obejźrzał! Bo ledwo odszedł, Mardyta zbiegła na powrót, usiadła w przysiąbku zagrody i nie spuszczała go z oka póki tylko dopatrzyć mogła. Ale Hufcyn rozżalony nie patrzał ani na lewo ani na prawo.

U szczytu Snowdanu, gdzie „Czarna Wola — yr Arddu" leży obłożny kamień, sam jeden osobno, „Maen du yr Arddu — Czarny kamień w Arddu" nazwany; a powiadają o nim że kto samowtór tam przenocuje, o wschodzie słońca jeden z nich wstanie z usposobieniem Barda, drugi oszaleje.

Poszedłbym zaraz na Wolę, mówi Hufcyn do siebie — wrócę piewcem? będę szczęśliwy; a oszaleję? co szalonemu szkodzi? — ależ nas dwóch być musi — a kto ze mną pójdzie?

I gdy rozmyśla, zeszedł go Huwen Belissa, dawny jemu znajomy a szczery przyjaciel, i wysłuchał żalów Hufcyna. A był Belissa śmiałek jakich mało, głośny na całą wieś, i zaraz zawołał wesół: „Hufcynie, ja z tobą pójdę!" Nic nie pomogło że Hufcyn odradzał, Belissa nie ustąpił; puścili się tedy społem.

Przechodząc gdzie mieszkała Mardyta, stała dziewczyna u drzwi.

A dokąd pan Bóg prowadzi? zapytała.

Na górę! na Czarną Wolę! powiedział Belissa, i powiódł ręka ku stronie gdzie Snowdan jaśniał w zachodnim słońcu.

Kamieniem spadły te słowa na serce dziewczęciu; ale przytomna, mówi: Szczęśliwej drogi! a w siebie wmawia: Oni pewnie żartują; i ażeby się przekonać, po chwyli wygląda za nimi. A oni już w pół drogi nad przepaściami w górze.

Scisnął ją żal i strach ogarnął; cały wieczór ani oderwać mogła myśli od Czarnej Woli. Kładzie się, a Czarna Wola i we snach nie odstępuje; śni się że Hufcyn oszalał — z jej winy oszalał — mary ją męczą, błaga, zaklina, walczy z sobą i... budzi się; na wieży bije północ. Ni sposób wytrzymać, wyskakuje z pościeli i wybiega. Miłość i ucisk sumienia pędzą nią na Snowdan. Tu noc ciemna, tylko ślepa gwiazda gdzie niegdzie, a wokoło świst i szum wiatrów, wiecznych gości Snowdanu. Obłąd chwycił się oka, i już świtać zaczęło nim się zaklętem bezdrożem przebrała na ścieżkę; dopiero w nią nadzieja wstąpiła, że jeszcze w porę przybędzie i spiących na czarnym kamieniu pobudzi. Sił ostatnich dobywa, radaby wzlecić, i już bliska u szczytu woła po imieniu ulubieńca swej duszy — ale z odgłosem słowa wypadł ze słońca oraz i pierwszy promień na twarz uspionych... budzą się... i spełniają dolę wyroków losu.

Jak na obłokach stał Hufcyn w otoku mgły zawieszonej na skale, twarz w nim przebóstwiona witała słońce zaranne; przy nim Belissa, ryhotem szaleńca rozbijał echa pogórskie.

Boleścią miłości zdjęta, pada Mardyta u nóg Hufcyna i z płaczem stopy całuje; ale Hufcyn jej na to: „Dla mnie na ziemi jeden tylko Huwen Belissa — więcej nic nie mam na świecie."

Harfa Hufcyna stała się roskoszą ludu, dla jednej tylko Mardyty każdy jej odźwięk był kolcem. Mardyta, niegdyś róża Bettwi Garmwenu, zwiędła dziewczęciem przedwcześnie, zaś imię Hufcyn Siona święciły grody i włości z przydomkiem „y Canw" to jest spiewaka. Bo też ani przed nim ani po nim nie było na całą Kambryę lepszego piewcy.

II. Sowa z Ewen Cowlwydu.

W Ewen Cowlwydzie głębokiej i ciemnej otchłani między skałami północnej Wallii, przesiadywała dawnymi laty Sowa; a o niej to ludzie opowiadają:

Orzeł z Gwernabwy przepędził nie mało wieku z Orlicą, i dużo dzieci napłodził. Stało się że powdowiał i długi czas siedział bezżenny, wreście zachciało mu się starać o Sowę z Ewen Cowlwydu. Na przeszkodzie stała obawa czy nie będzie tylko Sowa za nadto młoda na niego, bo jeszcze jakby po niej nadrosło familii, pokrzywdzę — mówi — moje orlęta; należy tedy wprzód się dobrze opatrzyć i u sąsiadów wywiedzieć w jakim też wieku sowa?

Udaje się więc najsamprzód do Jelenia z Rhedynfry. Zastaje jelenia na kłodzie starego dębu, i pyta go, w jakim wieku może być sowa?

Ten dąb — powiada jeleń — co tu leży bez kory i liścia na pół przegniły, sam się ze starości powalił choć go się nikt ani tknął nigdy, ja tylko jeden, com się raz o niego

wyczóchrał; otóż znałem ja dąb ten jeszcze żołędzią, a przecież nie pamiętam ażeby Sowa twoja była kiedy abo młodsza abo starsza, jak dziś wygląda. Ale zapytaj starszych ode mnie, powie ci Łosoś z Glinliffon.

Idzie Orzeł do Łososia i pyta, w jakim wieku może być Sowa? — A Łosoś odpowiada: Dźwigam lat tyle co mam łuski na grzbiecie i ikry w sobie; alem nigdy nie widział Sowy inaczej jak ją dziś widzę. Ale Kos z Ciliwri starszy ode mnie, ten ci lepiej powie.

Leci Orzeł do Kosa z Ciliwri, co siedział na małym kamuszku, i pyta, w jakim wieku może być sowa?

Czy widzisz — mówi kos — ten kamień na którym siedzę? nie większy jak jedna garść grudy; a przecież ten kamień widziałem że sto wołów go ruszyć nie mogło, nikt go nie skrobał, nikt nie zdrapywał, tylko że ja co wieczór wycierałem mój dziób o niego, a co rana wzlatując zadrasnąłem go koniuszkiem skrzydła. Ale sowy nie widziałem ni starszej ni młodszej jak ją dziś widzę. Ale idź-no do Żaby z Mochno-Bog, ona starsza ode mnie, może ci więcej co powie, a jeśli ci Żaba nie powie, to już niema nikogo co by co wiedział.

Poszedł tedy Orzeł do Żaby, i pyta w jakim wieku może być Sowa? A Żaba odpowiada: Ja karmiłam się samymi robaczkami z kałuży gdzie mieszkam, a i to bardzo skromnie; a czy widzisz te kopce co wystają kręgiem w około błot moich? to są same odchody z tego co ja strawiłam, a przecie anim słyszała ażeby sowa kiedy czem innem była jak stare straszydło, co wrzeszczy tu! hu. hu! i dzieci płoszy.

A potem Orzeł z Gwernabwy poszedł do Sowy z Ewen Cowlwydu, i ożenił się z nią.

III. Zkąd się wzieło jezioro Llyn Tegid czyli Bala.

W hrabstwie Merionet rozpiera góry rozległe na dwie mile jezioro, zwane u Anglików Bala, u krajowców Llyn Tegid; a zwane tak nie od tego że je otaczają sterczące po brzegach skały, krzewiska i lasy, i nie od tego że w jego głębokościach na czterdzieści miar morskich, odzracza się podniebny szczyt Arran Fowddwy — ale nazwisko to ztąd nosi, że kiedy raz stary żeglarz w jasną noc jesienną wpatrywał się w niego, widział w głębi na spodzie turmy, wieże i mury, a potem że w grudniu kiedy wzburzone wody w fale się łamią, widać zpod spodu jeszcze iglicę najwyższej wieży, a zpod tej iglicy gdy się burza na chwilę zatnie, wydyma się na wiatry głos podwodny: Edifar! Edifar! co znaczy Pomsta! Pomsta!

Za czasów kiedy Kambrya własnych książąt miewała, jezioro to, jeszcze nie było jeziorem, ale roskoszną doliną, gdzie jeden z owych książąt — ale bardzo dumny — zbijał bogactwa i skarby swoje które ponabywał grzesznie, bo łupieżą i mordem. Zdarzyło się, że gdy raz na tron zasiadał, zasłyszał z gór w odległości głos wołający: „Edifar a ddaw! Edifar a ddaw!“ co się znaczyło: Pomsta nadchodzi! Pomsta nadchodzi!

A kiedy nadejdzie? zapytał książę.

W trzecim potomku po tobie! odmówił głos, i zagrzmiało przytem że wszystkie drzewa zadrzały.

A zuchwały książę śmiał się z tego i nie popuszczał swego zwyczaju; grabiąc i rabując, śmiał się zawsze ilekroć go zaleciał głos organów i spiewy kościelne.

Przeszedł tak rok, dwa i lat wiele; a razu jednego przywołali na zamek starego lutnistę co mieszkał w górach, ażeby przygrywał na zamku, bo się księciu urodził z syna potomek, i dla tego na cześć wnuka była wielka uczta we dworze. A była biesiada tak świetna i okazała, panów i pań — wszystko-to strojne a dumne — było takie mnóstwo, że lutnista olsnął gdy wstąpił w podwoje zamku. Raczyło-to się z niesłychaną wystawą — a o północy gdy zmęczeni trochę nadstali, ustąpił i lutnista w ustronie, ażeby także wypocząć.

W tem — i to nagle — słyszy jakby mu coś do ucha niby nuciło, niby spiewało: Edifar! Edifar! Ogląda się, nic niema, tylko maluśki ptaszyna przelatuje to tu, to tam i widocznie go wabi, ażeby szedł za nim. Choć człek stary i nie domagał, ale że to rzecz dziwna mu się wydała, wstał i usłuchał ptaszyny. Idzie — przeszedł ganki i przesionki, przechodzi dziedziniec i za bramę; noc chłodna, księżyc sam patrzy, staruszek się zastanawia, sam nie wie czy iść czy nie iść; ale ptaszek zaskakuje od księżyca i tak się mili, niby tuli i prosi, a przytem świegocze: Edifar! Edifar! że stary chcąc nie chcąc idzie za lotem ptaszęcia, brnie gdzie błoto i wody, przeciska się gdzie leśna gąszcz i krzewiny, ptaszę zawsze przodem którędy najlepiej. Lecz byle staruszek gdzie nadstał,

zaraz mu ptaszek zaszemrzył: Edifar! Edifar! a to w taką nutę że staremu się przypominał jęk młodziutkiej jego Gwenhwyar'y, kiedy w Glazllynie w modrem jeziorze tonęła, a ratować ją nie było komu.

Tak dodrapał się na szczyt góry i stanął, bo z unużenia nie mógł już ani się ruszyć dalej. Stanął, słucha... i jakiś go szum zalata, szum jak wody kiedy się z gór wyłamuje, zresztą cisza, chyba wdali klepadełko u owiec na szyi. — W imię ojca i syna! Mary! mówi sam do siebie; głupiec ze mnie iść za ptakiem; abo-to człowiek, co ma rozum? i zabiera się z powrotem ażeby na zamku odegrać jeszcze ranną pobudkę. Ale o dziwo! Obejźrzawszy się, a tu ani śladu już gdzie stał zamek! Gdzie był zamek zalegało, jak okiem sięgnąć, wielkie szerokie jeziorzysko, ciche i spokojne jak sam księżyc co w nie patrzał; tylko lutnia po niem pływała.

Ranek przed pierwszem przedstawieniem.

(Z francuskiego.)

Owidy, wieszcz słynny i pamiętny z swych przygód, napisał między innemi wiersz, co już dziś przysłowiem, i jego „Donec felix“ zostanie prawdą na zawsze. Bywają jednak ludzie, co miewają nie raz więcej jeszcze przyjaciół niż „człowiek w szczęściu opływający“, a jednym z tych jest autor niezłych sztuk dramatycznych, osobliwie na dzień lub dwa dni przed pierwszem przedstawieniem nowej jakiej sztuki.

Autor taki stara się wcześnie o jednego lub więcej pisarzy, którzy-by się zajęli odczytaniem całego stosu wonnych bilecików od dam młodych i nie młodych. Znajdzie tam wiele zwrotów dowcipnych, lecz za to tem mniej ortografii: jedna przypomina się o loże, druga o dwa „przynajmniej“ krzesła, a inna choć-by tylko o pół tuzina biletów parterowych. Sekretarze autora wiedzą już, jak z temi bilecikami postąpić; najmniej dziewięćdziesiąt ze sta idzie na stos, a z uwzględnionych dziesięciu otrzymują dwa lub trzy odpowiedź i to nie koniecznie po myśli damom co te bileciki pisały.

Dziwneż-bo w nich bywają zachcenia i pretensye niemal śmieszne. Oto kilka takich bilecików na próbkę:

„Szanowny, drogi Panie! Dwa miejsca na krzesła zamknięte! Gdziekolwiek-bądź, byle tylko nie blisko orkiestry, gdyż to nerwy moje rozdraźnia. Najlepiej by mi było w trzecim lub czwartym rzędzie. Przecież Pan nie zapomnisz o nas?“

— „Kochany nasz Panie! Prawda, że na niedzielę spodziewać się możemy u Pana loży? Tylko proszę niedaleko od sceny, gdyż nie dowidzam nawet przez najlepszą lornetę. Nie zrób-że nam Pan zawodu. Mój mąż pozdrawia Pana serdecznie. Słyszę gości, więc kończę na tem.“

— „Mój złoty Panie **! Ach cztery krzeseł na balkonie w niedzielę, gdyż radabym widzieć tryumf pański. Gdyby można blisko loży dworskiej, miałybyśmy jeszcze i podczas między-aktów czem się rozerwać. Czekam, czekamy na bilety.“

Tymczasem biedny autor musi nie raz pracować do godziny 4tej zrana, a o 9tej być już na ostatniej próbie w teatrze. I jakże tu wszystkiemu podołać?

Od 10tej drzwi się prawie nie zamykają. Służący autora musi wszystkiego porzucić i klamki pilnować. Co chwila przychodzi po trzech do czterech od razu „dobrych przyjaciół“, i sadzą do autora.

A wszystkim jedno tylko na myśli — bilety!

— „Przychodzę Pana powitać... tak dawno się już zbierałem...“

— „Jak się masz... kochany, drogi! a co też z biletami mojemi?“

— „Przypominam się Panu o lożę przyrzeczoną...“

— „Czy będę mieć sposobność uwielbiać najnowszy utwor pański? Dziwniem ciekawy, gdyż co z pióra pańskiego zawsze prześliczne!“

— „Ja-bym dzieło pańskie okrywał oklaskami, lecz podobno trudno będzie o bilet?“

Autorowi przypada z ugody zwykle kilka wolnych biletów; jakże tu niemi obdzielić tylu znajomych, a wreszcie komuż tu dać, komu nie dać?

Ale odkąd piszą autorowie sztuki, przyjaciel nigdy jeszcze nie otrzymał biletu.

Bilety autora stają zwykle pastwą kruków, których tylko własny interes sprowadza.

Tę im jednak słuszność oddać należy, że ludzie ci, co się tak usilnie domagają wolnych biletów, nigdy nie dają oklasków: lękają się, by ich za klakierów nie wzięto. Mają też piękny zwyczaj spaźniania się umyśl-

nie, gdyż w posiadaniu miejsc stałych nie potrzebują się spieszyć. Wprawdzie przeszkadzają stukaniem swem tak artystom, jak i widzom, lecz i to im jakoś uchodzi. Pierwsi też wynoszą się z teatru, ledwie nie przed spuszczeniem kortyny, a to dlatego, że się natłoku lękają.

Nazajutrz lub jeszcze tegoż wieczora bawią się krytyką w hotelach, kawiarniach i po salonach: przyganiają w najlepsze, śledzą przywar, a na uchybienia zwracają uwagę powszechną.

Przy drugiem przedstawieniu nie ma autor żadnych już biletów do rozdawania. Ujęło się też mu i przyjaciół, a służący nie potrzebuje trzymać się klamki. Publiczność zaś, publiczność prawdziwa i uczciwa, ta publiczność co płaci, bawi się, właśnie dlatego— że zabawę tę opłaca, otoż publiczność ta wynagradza oklaskami swemi autora za wszystkie te przykrości, jakich podczas pierwszego przedstawienia sztuki swej musiał doznawać.

Starożytności azyatyckie. Miłośnicy starożytności zawdzięczać będą usilnościom Anglików w poszukiwaniach i odkryciach, na dawnych ziemiach Chaldejskich, i Suzyanie, a szczególnie w Warce dzisiejszej, zwanej w księgach Genezis mojżeszowych Erich. Wykopaliska podjęte pracą p. W. Loftns, zbogaciły naukę wiadomością sposobów architektury babilońskich, i jakim trybem odbywały się pogrzeby przed laty 2,000 nim Chrystus Pan przyszedł na świat. Odkryty portyk królewski w Suzie, liczy 343 stóp i 9 linii od frontu, a 244 stóp głębi. Grupy z kolumn dźwigają gmach cały, a na środkowych dwóch postumentach wyryte są napisy kształtem kliniaste i we trzy rzędy, odnoszące się do Artaxerxesa Mnemona. Bogaty zbiór waz egiptskich zapełniał wnętrza. Londyńskie Towarzystwo azyatyckie popiera wszystkie podobne odkrycia, i na jego zachęcenia zebrał i wydał Sir Henry Rawlinson roczniki Sanheriba i Tiglat Pilezara, historyczne tablice Sardanapala, jako też pomniki Phulów, i biblijnego Assur-Schamas, tudzież Nebbi Yunusza. Wydanie Rawlinsona powitają wszyscy, bo ma obok, przekład łaciński dosłowny kliniastego pisma.

Długie brody. Pracowity fizyolog Withof dowiódł, że w ciągu jednego tygodnia narasta ludziom przeciętnie półtora linii włosów na brodzie, co w przeciągu roku daje półsiódma cala, zatem że starzec ośmdziesiątletni naskładać by mógł ze swej brody strzyżonej włosów niemal dwadzieścia siedm stóp długości. Nie byłoby to niepodobieństwem, bo opowiada Elle że na książęcym dworze w Edam widział portret naturalnej wielkości jednego cieśli z brodą na dziewięć stóp długą, i ażeby mu przy robocie nie zawadzała, miewał zwyczaj wiązać ją w torbę; opowiada także że burmistrz berneński Hans Stomingen, idąc raz na ratusz w Bernie, nastąpił na swoją brodę dlatego że jej nie podkręcił, ztąd potknął się na schodach, spadł i zabił się.

Odżywienie kwiatów. Zerwane kwiaty nie długo świeżo utrzymać można, wioną, i w wodzie najdłużej że dobę przetrwają. Luboć dawno dostrzeżono że wionący kwiat w wodzie gorących źródeł, jak np. w Gastejnie orzeźwia się, ale rozumiano że to tylko moc osobliwsza leków tej wody sprawia i podnieca w nich życie. Tymczasem tak-to nie jest, gdyż wszelka ogrzana woda wydaje ten sam skutek. Łatwo się nawet przekonać; wsadźmy tylko w gorącą wodę więdniejący kwiatek, najgłębiej po trzecią część szypułki czyli łodydżki na której stoi, zaraz w miarę jak woda stygnie, kwiatek będzie się podnosić i orzeźwiać. Gdy to nastąpi, odciąć oparzony koniuszek łodydżki, i wsadzić w świeżą zimną wodę. Tym sposobem utrzyma się kwiatek w świeżości chociażby zwiędły leżał całą dobę. Kto wie czy nie w tem tajemnica że zwoje kwiatów przy karlsbadzkim szprudlu osadzone, utrzymują się w świeżości ośm do dziesięć dni. Dotąd przypisywano to doświadczenie dzielności ulatniającego się kwasu węglanego.

Złe oko. Po restauracyach i kawiarniach w Rzymie, nawet i domach prywatnych widywać można przed zwierciadłem po dwa kręcone rogi bydlęce; upatruje lud w tem zaklęcie na uroki „złego oka“ czyli jak oni mówią: *contro il mal'occhio.* — W Neapolu chroniąc się takich uroków czyli zaczarowania, co „*jettatura*“ nazywają, noszą na szyi lub przy zegarkach z korala lub białej lawy, małą rączkę, ale tak rzeźbioną żeby dwa palce, drugi i piąty, t. j. mały, nakształt rogu sterczały.— Po sklepach norymberskich widujemy i u nas takie rączki ze złota, brązu i srebra.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*